

Teksty Drugie 2003, 2-3, s. 331-335



Nie krzywdzić nikogo

Agata Bielik-Robson

Przechadzki

Agata BIELIK-ROBSON

Nie krzywdzić nikogo

W *Genealogii moralności* Nietzsche podaje swą słynną definicję człowieka: człowiek to zwierzę, które składa obietnice, a może składać obietnice i ich dotrzymywać, ponieważ pamięta. Obietnica nie jest więc możliwa bez pamięci, ale też – sugeruje Nietzsche – na odwrót: pamięć istnieje tylko po to, by człowiek mógł obiecywać. Inaczej byłaby tylko biernym wspomnieniem czasu minionego i jałowego, raz na zawsze zamkniętego w swej przeszłości. Taki czas tradycja żydowska nazywa „czasem pustym”, czasem, który po prostu tylko jest i mija niewypełniony napięciem zrodzonym oczekiwaniem na Mesjasza. Oczywiście Nietzsche podaje swą definicję człowieka po to jedynie, by ją natychmiast odrzucić; pragnie przecież wyzwolić jednostkę spod opresji pamięci, która wiąże ją nierozzerwalnie z tym, co już było, a tym samym otworzyć ją na chaotyczny żywioł bycia tu i teraz, bez obietnic i bez zobowiązań. I może to właśnie czyni go filozofem prawdziwie nowoczesnym, rozdartym między dwa sprzeczne imperatywy: natężonego pamiętania, które jest dla życia szkodliwe i intensywne życie, które obywają się bez ciężaru pamięci. Nowoczesność bowiem, a zwłaszcza ta późna, w której dziś żyjemy, nieustannie podsuwa nam dylemat: albo będziemy pamiętać, naprawdę pamiętać, a to znaczy zarazem składać i dotrzymywać obietnic, że coś takiego, jak Zagłada nie powtórzy się nigdy – albo unieważnimy to, co się wydarzyło, jako czas przeklęty i pusty, niewarty wspomnienia, i zawierzymy życiu, nowemu i swobodnemu, że nie przyniesie nam ono w przyszłości nic równie straszliwego.

Te dwie strategie stanowią o stosunku dzisiejszej filozofii wobec kwestii, którą jest pamięć o Zagładzie. Jedna linia, idąca od Theodora Adorno, czyni z tej kwestii wręcz podstawowy problem humanistyki współczesnej. Każdy, kto zabiera się dziś do napisania książki czy wiersza, powinien zadać sobie (za Adorno) pytanie: „Jak możliwa jest poezja, literatura, filozofia po Oświećcimiu?” Adorno nie tylko więc nie wzbrania się przed ciężarem pamięci, ale w tym obciążeniu pamiętaniem widzi podstawowy moralny obowiązek człowieka współczesnego, który

Przechadzki

nie może nie pamiętać, że żyje w erze post-oświęcimskiej; wszystko odąd ma się podporządkować zawartej w tej pamięci obietnicy, by Zagłada nie uległa powtórzeniu. Jak zatem zmienić świat, jak „urządzić nasze myśli i uczynki” – pyta Adorno – by Holocaust nie był już nigdy możliwy? W tym postępowaniu ukrywa się także wyraźny zamysł teologiczny. Pamięć o Zagładzie nie może wprowadzić zbawić czasu przekłętą, w jakim ta się wydarzyła, nie pozwala jednak, by przeminął on jałowo jako „czas pusty”. Nie chodzi tu więc o teodycę, o usprawiedliwienie Holocaustu w perspektywie metafizycznej, ale o to, by nie utracić wiary w sensowność historii, a tym samym w więź moralnych obligacji, łączącą nas z naszymi przodkami. Jest to wprowadzić – jak twierdzi Walter Benjamin, inny wielki teoretyk pamięci, pochłonięty przez Zagładę – tylko „słaba więź mesjaniczna”, niezdolna do tego, by raz na zawsze zbawić historię, ale też jedyna, która jeszcze stanowi o istocie człowieczeństwa.

Druga linia – bardziej Nietzscheańska w swej istocie, a tym samym, można powiedzieć, bardziej pogańska – wiąże się z nazwiskiem Jean François Lyotarda i jego słynną tezą o „nieprzedstawialności Holocaustu”. Zagłada jest tu wydarzeniem, którego nie sposób przedstawić sobie pojęciowo, a tym samym zrozumieć, stanowi ona nieprzekraczalne wyzwanie dla każdej logiki dziejowej. Teza ta umieszcza się zatem na antypodach twierdzenia, które w swoim czasie stało się popularne za sprawą Hannah Arendt relacjonującej proces Eichmanna, czyli twierdzenia o „banalności zła”. W Zagładzie nie ma miejsca na zrozumiałą, przedstawialną trywialność, jest ona niczym nagła epifania zła z nieludzkiego porządku, nagle objawienie potwornego mitycznego bóstwa, niemającego nic wspólnego z Bogiem żydów i chrześcijan. Teza ta ma jednak dość paradoksalne konsekwencje w odniesieniu do pamięci. Holocaust należy wszak pamiętać jako coś, co wymyka się wszelkiemu przedstawieniu, a więc także zapamiętaniu. W rezultacie ten osobliwy ikonoklazm otwiera drogę Nietzscheańskiej wolności od pracy pamięci, zarazem zwalniając nas od obietnicy, która się na tej pracy opiera: nie pozostawia nam nic oprócz ufności, że samo życie owego strasznego Wydarzenia nie powtórzy.

Filozofia lubi postawy skrajne i wyraziste, ludzka rzeczywistość tymczasem jest zwykle bardziej szara; opisać ten żywioł zmieszania, w jakim naprawdę żyjemy, pozostaje zadaniem literatury. Proza Michała Głowińskiego stanowi doskonały przykład tego, co René Girard nazwał „prawdą powieściową”, obrazem pełnym rzeczywistych komplikacji, nieprzystającym do jednoznacznych schematów filozofii. Bohaterowie rodzinnego miasta Michała Głowińskiego, o których opowiada *Historia jednej topoli*¹, przeżyli szok wojny i Zagłady, ale – ponieważ przeżyli – nie mają innego wyjścia, jak żyć dalej. Ich życie zatem broni się przed pamięcią, by móc trwać, ale też i pamięć domaga się swego, nie godząc się na zepchnięcie w niebyt. Rezultatem jest kompromis: ludzkie, arcyłudzkie rozwiązanie, które psychoanaliza podniosła do rangi podstawowej formuły egzy-

¹ M. Głowiński *Historia jednej topoli*, Kraków 2003.

Bielik-Robson Nie krzywdzić nikogo

stencjonalnej. Niepełna pamięć z jednej i – by znów przywołać Adorno – „poharatane życie” z drugiej strony.

Wszyscy ci dotknięci wielkim cierpieniem ludzie zmagają się z niezrozumieniem tego, co się im przydarzyło, z niemożnością przedstawienia sobie przyczyn zła, które zniszczyło ich świat. Ich pamięć jest jakby p r z e s u n i ę t a: omija ciemne jądro traumy, skupiając się na czymś innym, bliższym, bardziej zrozumiałym, co ów uraz symbolizuje. Niezwykle wzruszająca jest opowieść o Babce autora, zatytułowana *Szaleństwo*: wiele rodzin, które przeżyły Zagładę, zna tę historię – w jakiejś swej części oczywiście – zwykle przemilczaną, niewypowiedzianą, kładącą się cieniem na psychikę następnych pokoleń wyrastających w pobliżu ocalałych. Michał Głowiński jednak postanawia opowiedzieć tę historię – dla niego, jak i dla wielu innych w podobnej sytuacji – oczywiście, a jednak, pomimo swej oczywistości, domagając się opowiedzenia. Powody, dla których to robi, wyjaśnia ostatni refleksyjny rozdział książki, zatytułowany właśnie *Opowiadanie i oczywistość*. Otóż szaleństwo Babki jest niczym innym, jak tylko kompromisowym procesem pamięci. Starsza kobieta, psychicznie krucha jeszcze w młodości, zdradzająca skłonność do stanów lękowych, przeżywa wojnę, ukrywając się po aryjskiej stronie; przez cały ten czas zachowuje się w pełni przytomnie i racjonalnie, nie pozwalając sobie na ataki paniki, które mogłyby okazać się zgubne dla niej i jej rodziny. Właściwa reakcja zostaje więc opóźniona, odbywa się – jakby powiedział Freud – *nachträglich*, czyli po niewczasie i dlatego też jest symbolicznie przesunięta. Najpierw Babka ślepnie, a potem zapada we własny świat urojeń i manii prześladowczej. Za powód zła, którego doznała, podstawia jedyną rzecz, jakiej być może bała się już wcześniej; całkiem świadomie, jedyną, która wydaje się jej bliska i zrozumiała. Wydaje się jej, wie, pamięta, że całe jej nieszczęście wzięło się stąd, że Działek ją opuścił, zostawił samą, zdradził z inną kobietą. Przeżyła lęki istoty skrajnie bezradnej i opuszczonej, ale nie jest w stanie winić za to świata i historii, której nie rozumie – której zapewne nikt dziś do końca nie rozumie – dlatego też winę przesuwana na to, co bliskie, znajome, prywatne. Jej pamięć przybiera charakter syndromu.

Opowieść o szaleństwie Babki nadaje ton wszystkim pozostałym opowiadaniom, to nie przypadek zatem, że to ona otwiera właściwy cykl wspomnieniowy, zaraz po tytułowej *Historii jednej topoli*. Wszyscy małomiasteczkowi bohaterowie Michała Głowińskiego borykają się z pamięcią jako formą szaleństwa, mniej lub bardziej wyrazistego; wszyscy przekładają dezorientujący chaos wielkiej Historii na małe, prywatne wydarzenia i znaki, które w ten sposób nabierają wagi symptomów. Ojciec, który obsesyjnie usiłuje przywrócić bezpowrotnie miniony porządek bytu, domagając się spłat od swych dłużników na podstawie ocalałej, przedwojennej Księgi Kredytowej. Pani Aniela, polska zubożała ziemianka, której wszystkie straty zwały się w jedno: zagubiony mityczny parasol z rączką z czerwonej masy. Wuj Józef, który wyemigrował do Ameryki Południowej i który w czasie swych wizyt w Polsce unika wszelkich aluzji do przeszłych losów swej rodziny, choć ją regularnie, z wielkim nakładem czasu i kosztów, odwiedza. Wreszcie sam autor, który

Przechadzki

za młodu niemal wymazał bezpośrednio wspomnienia o swych wojennych kryjówkach, a jednak nie może uciec przed nagłym, dramatycznym powrotem pamięci. Kiedy koledzy dla zabawy próbują zamknąć go w wagonie kolejowym, przeżywa napad klaustrofobii, w którym cielesnie odżywa pamięć o ciasnocie klitek, w jakich się ukrywał. Przykłady te można by mnożyć. Te – by raz jeszcze użyć formuły Adorno – „poharatane życia” stanowią świetną literacką ilustrację tego, co suchy język psychoanalizy nazywa kompromisem: zawsze wadliwym, zawsze nieudany wyjściem pośrednim między straszną pamięcią a nakazem dalszego życia, rozwiązaniem, które – koniec końców – uszkadza i jedno i drugie.

Jednak sama wola opowiedzenia tej niemej i męczącej oczywistości stanowi tylko o części zamysłu, który przyświecał autorowi; nie oddalibyśmy mu sprawiedliwości, nie wspominając o formie, jaką nadaje on swojej własnej pamięci, tej, dzięki której otrzymujemy relację z Miasteczka. Jest to pamięć łagodna, oczyszczona z niszczących namiętności, wyzwolona z nadmiaru uwikłań dzięki wyobrażonej identyfikacji z perspektywą tytułowej topoli. Opowiadaniom Głowińskiego mogłoby służyć za motto *haiku* Miłosza: „Nie żeby być od razu bogiem lub herosem. Zmienić się w drzewo, rosnąć na wieki, nie krzywdzić nikogo”. W ten sposób autor wykonuje pracę pamięci, której imperatyw nałożył na nas Adorno: przyjmując perspektywę tego szlachetnego bytu, który dba o siebie, nie wadząc nikomu, „urządza swe myśli” tak, by uniemożliwić powtórzenie się zdarzeń, jakie stały się udziałem oszalałej ludzkiej Historii. Wyzwała się tym samym z okowów syndromu, pamięci niepełnej i uszkodzonej, której ofiarą padł jako młody chłopiec, jednocześnie jednak nie popada w stan przeciwny, charakteryzujący się nadmierną, histeryczną wręcz przejrzystością narracji. W opowiadaniach Głowińskiego, pisanych ze szlachetnej perspektywy drzewa, wyczuwam ogromne współczucie dla ludzi zmagających się ze swą przeszłością, a zarazem cichą, implicitną krytykę tych wszystkich form pamięci, które osiągają fałszywą pełnię i przejrzystość za cenę cięć i uproszczeń. Opowiadanie u Głowińskiego służy wydobyciu, a zarazem komplikacji pamięci realnej; umieszcza się jako forma między syndromem, który ginie w mrokach nieświadomego, a mitem, który epatuje nadmierną przejrzystością. Z perspektywy topoli łagodnie górującej ponad poharatanym życiem ludzkim świat jawi się bogaty w szczegóły, które znoszą się nawzajem, uniemożliwiając wyłonienie się kolejnej pewnej siebie, oskarżycielskiej narracji – czy to przeciw złym Polakom, złym Niemcom, czy złym komunistom w o g ó l e. Chłopska rodzina Salamonów, która ocaliła Dziadka autora; Pan Juliusz, dewocyjny katolik i wierny przyjaciel wuja Józefa; ale także Jasza i Maks, dwaj czerwonoarmiści, przyjaciele domu – to postaci, które uparcie przeciwstawiają się wszelkim mitycznym uogólnieniom. Bez wątplenia tę rolę polegającą na komplikowaniu pamięci odgrywa także opowiadanie *Egzamin z filozofii*, pod koniec którego dowiadujemy się, że ów łagodny, niezwykle ludzki egzaminator, przymykający oko na ideologiczną ignorancję studentów to nikt inny, jak tylko Tadeusz Kroński, straszny Tygrys epoki stalinizmu.

Bielik-Robson Nie krzywdzić nikogo

Opowiadania Głowińskiego mają więc charakter fragmentów, które nie chcą być niczym innym, jak tylko fragmentami. Odmawiają złożenia się w jedną przejrzystą całość. Tym samym składają i dotrzymują obietnicy, która – jak twierdzi Nietzsche – wiąże się z realnie dokonaną pracą pamięci: *n i e c h c ą k r z y w - d z i ć n i k o g o*, nawet tych najbardziej tępych i nieświadomych, którzy wręcz sami się proszą, by ich winą obarczyć. Taka literatura rzeczywiście pełni funkcję uzdrawiającą – nie chcę powiedzieć, terapeutyczną, bo to budzi zbyt przyziemne skojarzenia. Dostarczając nam języka, w jakim mogłaby się wyrazić rzeczywista praca pamięci, wydobywa nas z podwójnej pułapki syndromu i mitu, czyli pułapki traumy nieprzepracowanej, której nieodmiennym przeznaczeniem okazuje się zawsze repetycja: powtórzenie w przyszłości krzywdy, jakiej się samemu uprzednio zaznało.